

Ucieczka w Tatry

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Gdzie na halach szałas w twardym światłocieniu
Są jak stożki, w niebieskim rzeźbione krzemieniu,
Gdzie gencjana-goryczka, nieulękła w pustce,
Wspina się jak góralka w szafirowej chustce,
Gdzie skrawkiem czystej wełny ścieli się szarotka,
Gdzie wśród piargów kozicę lub świstaka spotkasz,
Gwiżdżącego na baczność; gdzie wonna leluja
Różanym rusztowaniem na powietrzu buja,
Gdzie dziki krzak agrestu blisko strony czeskiej
Stroi się w szkiełka rosy podłużne, niebieskie
Jak świecznik zagraniczny – tam pokłoń się Tatrom,
Tam myślą się zatrzymaj. Drzemią na kształt matron
O suchych, orlich twarzach ... Matron nietykalnych!
Spokojne pośród wichrów orawskich czy halnych,
Trwają, obce nizinom. Ani wiedzieć nie chcą,
O grzmotach, które łunę wśród ciemności niecą,
Niszcząc świat. – Tu, jak cicho! Kędy sięgniesz wzrokiem,

Ranek w górach

Autor: Adam Asnyk

Wyzłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole - lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannym oświeceniu
Mknie się z wolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada.

A spod silnej tej zastony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy
Coraz głębiej oko tonie,

Cudowności świat się piętrzy,
W wyłóconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swym łonem świecą czystym,
W granitowej świecą bieli
W tym powietrzu przezroczystym.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny,
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni.
Wszystko w oczach przeistacza,
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już źródło srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorach silnej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny - a z sząłasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce,

Dzwoniąc, idą paść się trzody...

Jakaś rozkosz spływa w serce,

Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma

I powietrze chciwie chwyta -

Dusza wybiec chce oczyma

Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,

Obudzona jak z zaklęcia...

I tę całą piękność świata

Chce uchwycić w swe objęcia. źródło:

Księga ubogich - I

Autor: Jan Kasprowicz

I

Witajcie, kochane góry,

O, witaj droga ma rzeko!

I oto znów jestem z wami,

A byłem tak daleko!

Dzielili mnie od was ludzie,

Wrzaskliwy rozgwar miasta,

I owa śmieszna cierpliwość,

Co z wyrzeczenia wyrasta

Oddalne to są przestrzenie,

Pustkowia, bezpłodne głusze,

Przerywa je tylko tęsknota,

Co ku wam pędzi duszę.

I ona mnie wreszcie przygnała,
Że widzę was oko w oko,
Że słyszę, jak szumisz, ty wodo,
Szeroko i głęboko.

Tak! Chodzę i patrzę, i słucham -
O jakżeż tu miło! jak miło! -
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedyś nie zmieniło?

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy
I uschły dwie wierzby nad rowem,
Strażniczki wiosennej niwy.

A za to świeżym się liściem
Pokryły nasze jesiony
I jaskry się złocą w trawie
Zielonej, nie pokoszonej.

A za to płyną od pola
Twórcze podmuchy wieczności,
Co śmierć na życie przetwarza
I ścieżki myśli mych prości.

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!

I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!